

Nie raz już pisałem o ogromnej wartości, jaką jest przywracanie do muzycznego obiegu bardzo wartościowej muzyki Ericha Wolfganga Korngolda (1897 – 1957). Swego czasu ten twórca padł ofiarą pogardy wobec rodzącej się sztuki filmowej. Szlachetny świat muzyki klasycznej nie szedł w parze z pogardzanym światem kina.

Jeszcze gorzej kompozytorzy miały w młodym świecie kina aktorki. W wielu kulturach, zwłaszcza na przykład w Indiach, kobietę grającą w teatrze uważano za prostytutkę. Jak bowiem kobieta mogła pokazywać się obcym mężczyznom i to publicznie? Również w Europie tak było, o czym świadczą opisy świata sztuki w powieściach Balzaca. Jeszcze gorszą sytuację od aktorek miały tancerki i baletnice, w końcu pokazywały publicznie nie tylko siebie, ale i swoje ciało. Aktorzy możliwe, że mieli trochę lepiej, ale z pewnością mężczyzna aktor czy mężczyzna tancerz nie był godną partią dla damy czy zamożnej mieszczańskiej córki.

**cpo**

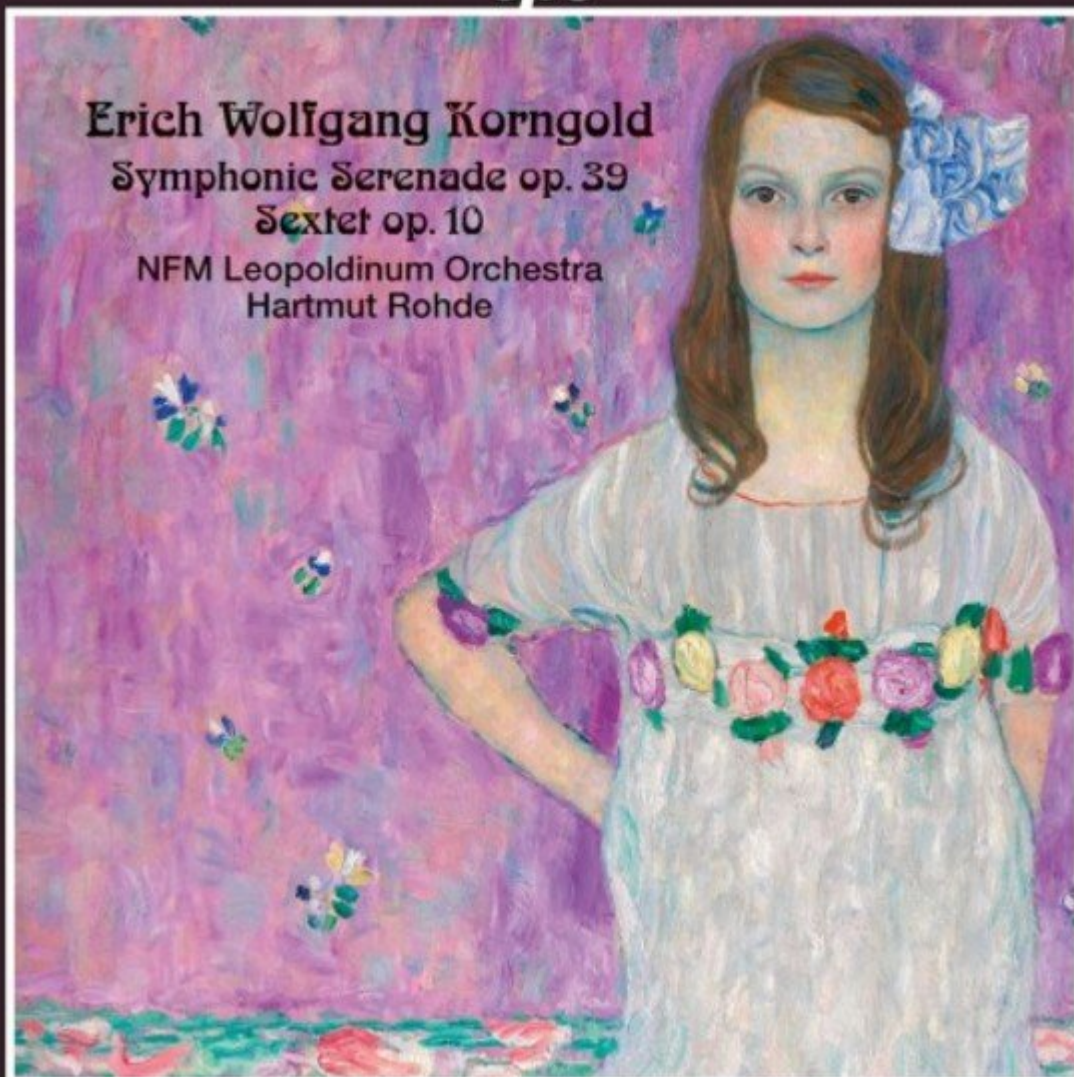
**Erich Wolfgang Korngold**

**Symphonic Serenade op. 39**

**Sextet op. 10**

**NFM Leopoldinum Orchestra**

**Hartmut Rohde**



W piękny świat Korngolda wprowadza nas niestrudzona wrocławska Orkiestra Leopoldinum pod batutą Hartmuta Rohde. To już kolejna płyta tego zespołu wydana przez prestiżową i silnie obecną na rynku muzyki klasycznej firmę CPO. Nagrania utworów zawartych na płycie zakończono 30 marca 2017 roku, gdy już od wielu miesięcy działał gmach NFM z jego wspaniałą akustyką.

Na płycie dominuje bardzo romantyczny Korngold. Ale też mroczny, gdyż w skomponowanym najpierw Adagiu do Sextetu op. 10 odnajdujemy melodyczny żywioł wzięty przez kompozytora z

jego pieśni Nachts do tekstu Siegfrieda Triebitscha, którego tłumaczenie Bruges la Morte stało się podstawą dla sławnej i obecnie na nowo odkrywanej przez szeroką publiczność opery Korngolda – Die tote Stadt.

Drugie dzieło, które na płycie jest utworem otwierającym, powstało trzydzieści lat po premierze Octetu który na płycie poznajemy w aranżacji Rohdego na orkiestrę smyczkową.

Serenadę symfoniczną op. 39 kompozytor dedykował swojej żonie Luzi, zaś prapremierę z sekcją smyczkową Wiedeńskich Symfoniaków poprowadził sam Wilhelm Furtwängler w roku 1950.

Serenada jest moim zdaniem porywającym arcydziełem. Podobnie jak muzyka Straussa czy Mahlera tkwi ona pomiędzy romantyzmem a modernizmem, szczęśliwie bez neoklasycyzmu, który – moim zdaniem – w większości wypadków podcinał skrzydła zdolnym kompozytorom, zamiast nieść ich wyżej. Wiemy, że na przykład Szostakowicza do tego zmuszono, zaś osoby szczególnie chętnie i dobrowolnie nurzające się w tej estetyce straciły trochę z głębi swoje muzyki. Nie przypadkowo twórca neoklasycyzmu, Strawiński, porzucił w pewnym momencie tę estetykę i stanął po stronie dodekafonistów, co do dzisiaj nie zostało jeszcze zrozumiane i docenione przez wielu krytyków muzycznych i melomanów. Moim zdaniem z późnym Strawińskim jest jak z późnym Picassem. Nagle nastąpić może zwrot w naszej percepcji i przewartościować potoczne opinie na temat tych późnych dzieł.

Wracając jednak do Serenady Korngolda. Dużo w niej mądrze zrozumianego Wagnera, pewnych archaizacji, rozwiązań podobnych do tych Ryszarda Straussa czy Gustawa Mahlera. Serenada jest jakby tygłem swojej epoki, jej podsumowaniem. Bardzo ciężko odnaleźć się w tej delikatnie skrytej polistylistyce, ale Orkiestra Leopoldinum z Rohdem robi to mistrzowsko. Można

tylko podziwiać znakomite zrozumienie tych stylistycznych rozdroży i cieszyć się ekspresyjnym, eleganckim dźwiękiem, nie wpadającym w przesadę. Jakby nie było, urodził się w monarchii austrowęgierskiej, w Brnie, zaś pierwsze poważne kroki stawiał oczywiście w Wiedniu. Przed wyjazdem do Hollywood związany był też z Akademią Wiedeńską. Zatem wiedeńska elegancja muzycznej frazy, chęć dążenia od patosu do lekkości były ważne i w jego muzyce. A tam czekały go już dwa Oscary...